

środa

Wstałam cztery godziny po północy. Wciąż męczyły mnie koszmary – wchodziłam na jeden z kluczowych serwerów DNS, wciskając się do jego wnętrza przez wąską, niezauważoną przez administratorów szparę, znajdującą się na granicy dwóch warstw. Oblało mnie błękitne, z początku ostre światło, nieprzyzwyczajone do blasku oczy z trudem przyzwyczajały się do jasności. Z niedaleka dochodził szum pracujących wentylatorów. Spojrzałam w stronę źródła światła. Sterownia... Właśnie jej szukałam... Zrobiłam krok. Zabrzmiął alarm. Szczelina zniknęła, zamykając mnie wewnątrz zakazanego terenu, niby w szczelnie zamkniętym, foliowym woreczku...

Mały siedział przy stole, nakrytym kratkowaną, zieloną ceratą. Nie chciało mi się wydawać ciężko zarobionych pieniędzy na jakiś elegancki obrus. Teraz w ceracie pojawiały się zapamiętałe wycinane litery.

- Co robisz? – spytałam bezmyślnie, zupełnie nie zastanawiając się nad tym pytaniem, nie analizując jego sensu i wagi, nie generując prawdopodobnych odpowiedzi, ani nie obliczając odpowiedniej częstotliwości, natężenia i barwy mojego głosu.

Mały spojrzał na mnie lekceważąco.

- Nic nie rozumiesz. – odparł. – Przestałaś myśleć, analizować i zbierać dane. Co może robić prawie piętnastoletni, załamany koleś o czwartej nad ranem w kuchni o wystroju nie-sprzed-30-stu-lat?

Miał rację. Przestałam badać chwile. Nauczyłam się żyć po ludzku, na przykładnie spotykanej na schodach sąsiadki z wiklinowym koszem, mijanego w tramwaju staruszka w ciemnych okularach i białej marynarce, hip-hopowców, siedzących na murze i wiecznie niezadowolonego szefa.

- Więc... – ponaglił mnie, wbijając w me zatroskane spojrzenie swój jasnobrzowy wzrok.

- Ja wiem, ona nie jest tak inteligentna, jak ty. Po prostu o niej zapomnij. Niech z jej głupich żartów śmieją się fani niecenzuralnych słów przeplecionych turkoczającymi dźwiękami z głośników stuningowanego pseudosamochodu.

- Na jedną chwilę chcę być jednym z nich – powiedział, znów patrząc mi prosto w oczy.

- Kurwa, ziomal, ty tu skąd? – Wojtar nie sprawiał wrażenia człowieka nastawionego pozytywnie do Małego.

- Hehe, Wojtuś, nie denerwuj kolegi – Aneta słodko uśmiechnęła się do Małego, prezentując swe długie rzęsy.

Netas wstał, kończąc pogawędkę soczystym przekleństwem. Towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Słyszając, że Aneta nie chce z nim wracać, Wojtar podarował jej tylko czuły pocałunek na pożegnanie i odszedł. Wiatr przywiął z pobliskiego śmietnika tumany kurzu pokrywającego przegnite kontenery. Skryli się w bramie. Byli sami. Wszystko działo się tak szybko. Za szybko. Prędkość jest dobra, ale...

- Jak się nazywasz? – zanuciła swym śpiewnym głosem, okręcając na palcu swe złoto – różowe loczki.

- Mateusz – skłamał Mały – przecież wiesz...

- Widzę cię po raz pierwszy, skąd jesteś?

Nie odpowiedział. Obserwował tylko zgrabne ruchy jej rąk. Odgarniała włosy, poprawiała ramiączka stanika, ani na chwilę nie przestawała poruszać swym ponętym ciałem.

- Wiem dokładnie, czego naprawdę chcesz. Zrób więc to. Nie czekaj, aż zjawi się tu twój chłopak – szeptał Mały, wierząc w powodzenie swojego eksperymentu.

Jej oczy zabłyśły nagle jasno. Trafił.

Udało się.

Objęła go. Używała chyba najśłodszych truskawkowych perfum, jakich znalazła w tanim kiosku. Spojrzała nieufnie na ulicę. Nie było nikogo. Zamknęła oczy, składając swój pocałunek. Był zupełnie inny niż ten, który otrzymała od Wojtara. Bardziej namiętny. Nawet jej szminka smakowała jak truskawki.

Otworzyła oczy. Były bardziej błękitne niż dotychczas. Mały uśmiechnął się. Doświadczenie zakończone. Wszystkie zadania wykonane, trwa wylogowywanie z systemu... Przez mgłę widział, jak odwzajemnia jego uśmiech. Wszystkie procesy użytkownika zamknięte, trwa przywracanie ustawień domyślnych... Naciśnij enter, aby się zalogować...

- I jak? – zapytałam. Nie minęło pięć minut. Miało nie być go cały dzień. Czy był tak genialny, że rozpracował program w dwie minuty, czy trafił na zbyt banalny, jak na jego umiejętności, kod?

- Wow – krzyknął Mały, starając się złapać oddech. – Wiedziałem o tym, ale nie przypuszczałem, że jest aż tak wielką idiotką!

- Jak to? – zdziwiłam się. Mały rzeczywiście był wstrząśnięty.

- Największa kretynka, jaką kiedykolwiek spotkałem. Fuj – dodał, myjąc twarz w łazience.

Uśmiechnęłam się. Doprawdy, czego on się spodziewał? Czyżby tak jak i ja przesiąkł już ludźmi do tego stopnia, że stał się taki jak oni? Żyjący stereotypami i wyobrażeniami? Przestali go już dziwić?

Przez chwilę kręcił się po kuchni, przesuwał istniejące i wyimaginowane przedmioty, aż wreszcie wyrzucił z siebie to, co od dłuższego czasu dręczyło jego świadomość.

- Ja nie chcę tu być.

Kto by chciał – pomyślałam. Ale... Skoro sobie tego życzył... Oblana nikłym światłem słabej żarówki kuchnia zniknęła.

czwartek

Program Files, Windows Media Player, Internet Explorer domyślną przeglądarką... Trafiliśmy na zagorzałego wielbiciela Giganta z Redmont. W dodatku dość naiwnego. Mały wyświetlił mu jakiś popularny error. Zaskoczony user kliknął OK. Zainstalowaliśmy się w Tempie, modląc się, by system nie uznał nas za wirusa i nie usunął. Lecz nie było chyba powodów do obaw – człowiek, siedzący po drugiej stronie szklanego ekranu, zdawał się nie mieć pojęcia o istnieniu na rynku oprogramowania antywirusowego.

Cóż za cudowne uczucie – mieszkać. Posiadać na własność kilka kłastrów, którymi można opiekować się w każdej wolnej chwili, które potrafią odwdziżyć się za opiekę, dając bezpieczne schronienie. Szczególnie wtedy, gdy zewsząd otoczy nas skumulowana nieżyczliwość. Tu można stworzyć sobie swój własny, prywatny raj – nie ma wścibskich spojrzeń sąsiadów z granicznego folderu, nie ma z góry narzuconych norm ani reguł. Całkowita wolność tworzenia, kreowania nowego świata, wolność tak bardzo ukochana przez artystów i zarezerwowana tylko dla nich, teraz zaś dostępna dla mnie, abym mogła napisać dla siebie wewnątrz swego nowego domu, jego otoczenie i mieszkańców.

Niespostrzeżenie ściągnęłam kilka bajtów wiedzy ze swego kilkunastogigabajtowego zasobu na moim shellu. User nie miał żadnego firewalla, toteż nie zauważył, że wolne miejsce na jego olbrzymim dysku gwałtownie się zmniejsza. Chwała mu za to! Nawet niezbyt dobrze wyszkolony, początkujący użytkownik komputera zauważyłby naszą niepokojącą obecność. A nasz user? Gdzie tam! Ze spokojem włączył jakąś strategiczną gierkę, na długie godziny zapominając o istnieniu świata.

Wystrój indyjski. Koraliki zwieszające się z futryny, melodyjnie brzmiące dzwonki powietrzne, podłoga wyłożona matami. Półeczki z tekowego drewna z najróżniejszych maści słoniami i posążkami bóstw. Zapach kadzideł. Natychmiast napisałam dla siebie orientalną, ciemnowiśniową suknię z oryginalnym haftem. Żeby pasowała do atmosfery panującej w domu.

Mały postanowił sam zająć się swoim pokojem. Byłam ciekawa, jak mu pójdzie. W końcu najbardziej niezbędne rzeczy, takie jak miękkie łóżko czy biurko z wysuwanymi szufladami wymagają dość dużych umiejętności programistycznych. Podciągając do jego pokoju elektryczność zauważyłam, że męczy się z dywanem. Był zbyt płaski i nie wgniatał się pod ciężarem.

- Pomóc? – spytałam, obmyślając algorytm mogący zaradzić temu problemowi. Sama jeszcze nawet nie zabrałam się za podłogi.

- Nie – uciał Mały, a w dywanie pojawiły się dziury w miejscu śladów stóp. – Cholera – szepnął. Po chwili zniknęły.

Uśmiechnęłam się i wyszłam. Mały programmer. Byłam z niego dumna. Zdolny jest... Sama pewnie też będę rzucać mięsem nad własnymi projektami – ot, na przykład takiego piecu. Nie chciałam stosować gotowych źródeł... Oczywiście z okapu muszą zwieszać się jakieś ziółka, cebule, pachnące trawy... Pełen styl!

W ciśnieńskim przedpokoju (nie należało przecież marnować cennych bajtów na wielkie holle) powiesiłam na ścianach kilka makat, ściągniętych ze stron indyjskich sklepów. Szczególnie podobała mi się pomarańczowa batikowa ze wschodzącym słońcem. Zalałam pozostałe ściany brzoskwińową farbą. Nie zapomniałam o oświetleniu – kilka ślicznych lampionów z mosiężnymi zawijasami oplatającymi ciemnożółte szkło załatwiło sprawę. I jeszcze te półeczki – wszędzie gdzie tylko się da! W kuchni, pokoju, przedpokoju... Wyglądały tak uroczo, że żałowałam, że Mały sam urządził swój pokój. Z czystą przyjemnością wrzuciłabym na jego ścianę kilka zmodyfikowanych kopii. Na jednej z nich powiesiłam niedzwoniące jeszcze dzwonki z jing-jang. Później zajmę się dźwiękiem! Teraz zabrałam się za zapach. Kilka ustawień na samym początku kodu i powietrze nagromadzone w pomieszczeniach zdawało się przenosić człowieka w jakiś tajemniczy świat. Żeby nie było to dziwne, w miejscach gdzie zostało jeszcze trochę niezagospodarowanego miejsca, zamontowałam woreczki z suszem, szkatułki zawierające kadzidełka i buteleczki z olejkiem.

Kuchnia. Stół... Pod oknem, aby był widok na zewnątrz. Na razie z okna biła ciemność. Od czasu do czasu przemknęły jakieś urywki danych. Większy ruch był widoczny z łazienki – widocznie w tamtych okolicach znajdowały się pliki tworzone na czas gry przez grę graną przez grającego. Stół był dębowy, mocny. A może lepiej mahoniowy...? Nie wypadało pytać o radę Małego. Dębowy. Niech będzie tradycyjnie. Przynajmniej mam na to kilka sampli. Chciałam kłaść obrusik, gdy nagle przypomniały mi się bambusowe maty. Jak znalazł dla naszego pięknego mieszkania. Szybki download i już leżały na deskach stołu. W glinianym, ozdobionym kolorowym wzorem kubeczkami umieściłam przez moment napisane pałeczki - zamiast tradycyjnych sztuczków... Małemu i gościom załaduje się tylko odpowiedni moduł. Po co tracić czas na mozolne uczenie się jedzenia pałeczkami...? Kubeczki do herbaty zawisły nad stolikiem do przygotowywania posiłków. Do szafy schowałam imbryczek z podgrzewaczem. Gdy skończymy pracę, napijemy się swojej pierwszej, wirtualnej herbaty wprost z indyjskiego sklepu. Jaśminowa. Będzie cudownie.

Łazienka. Piecem kuchennym zajmę się później. W łazience nie było dużo do roboty. Postanowiłam skorzystać z gotowych szablonów, ściągnęłam kilka programów dla spłuczki i prysznic, lustro napisałam na własny sposób – łącząc je z impulsem, a nie efektem końcowym, dzięki czemu będzie ukazywać każdy ruch o dwie milisekundy szybciej niż wszystkie zwykłe lustra, używające okrężnej drogi, którą w te i wewte podróżują pakiety. Płytki ceramiczne oczywiście muszą być najwyższej jakości. Kto wie, dlaczego te nie były? Łamały się przy każdym kroku. Ajajajajaj. Wiedziałam, że w końcu muszą pojawić się jakieś problemy. Szło za łatwo... Były tylko zdążyć ze wszystkim zanim user odłączy się od Sieci.

Dobiegł mnie jakiś hałas. Jak oparzona wpadłam do pokoju Małego.

Siedział tuż pod sufitem, na czymś, co przypominało bardziej chmurę niż poduszkę. Zewsząd otaczały go białe ściany. Nie było nawet dywanu, tego niebieskiego dywanu, w którym powstawały dziury. Po prostu idealna pustka. Czyżby przypadkowy delete?

- Małyyyy... – zaczęłam. Nawet się nie poruszył. – Coś nie tak?

Łaskawie otwórz jedno oko, po to, by po sekundzie je zamknąć. Totalny ignore.

- No... – ciągnęłam.

Program nie odpowiada. Pewnie czeka na twoją reakcję, lub po prostu przestał działać.

- Przestałeś działać?

Znów nic.

- Heej! Słyszysz mnie może...?

Serwer nie opowiedział w ciągu 60 sekund. Czy chcesz kontynuować?

Wpisałam polecenie debugera. Drgnął. Czekałam na dalszą reakcję. Znów nic. Uznałam, że to była tylko zaczepka. Postanowiłam go zdekompilować. Wygrzebałam z menu podręcznego stary program, bezzwłocznie go uruchamiając. Konfiguracja sprowadzała się do wprowadzenia ID programu docelowego i ustanowienia połączenia. Poszło. Pojawił się świetlisty napis: „Pozostało 9 sekund do dekompilacji. 8 sekund. 7 sekund. 6 sekund...” To był naprawdę bardzo stary program.

- Cholera jasna, odczep się wreszcie ode mnie! – warknął, rzucając we mnie exploitem. W porę zrobiłam unik. Doczepił się do jedynej istniejącej w tym pomieszczeniu rzeczy: klamki. Mały wpisał jakąś komendę. Ekspłodowała. Przy 2 sekundach zerwał połączenie, więc kompilator posłusznie zawiesił się. Czy wyprodukował go Microsoft?!

- Jak ty się do mnie odzywasz, co? – rzuciłam na pożegnanie i wyszłam. Miałam swoją robotę. Niech robi, co chce.

piątek

Siedziałam na swym łóżku, przykrytym ciepłą, wełnianą, zieloną narzutą z barwnymi wzorami, zakończoną długimi frędzlami, zwisającymi aż do ziemi. Bawiłam się pingiem – Mały wyszedł do szkoły, szukać nowych doświadczeń, a ja właściwie nie miałam nic lepszego do roboty. Jedynym moim zadaniem na tą część wieku było przecież jego wychowanie.

Wywoływane przeze mnie adresy w większości odpowiadały. Gdy jednak zmieniałam cyfry na nazwę hosta okazywało się, że były to tylko jakieś bezwartościowe serwery WWW lub pojedynczy użytkownicy Sieci. Wtem trafiłam na coś dziwnego. Ciąg cyfr posłusznie zamienił się na litery. Magazynmarzen.xdl.llr – co to za miejsce? Serwis jakiejś brukowej gazety? Strona erotyczna? W mig skompresowałam się. Udało mi się przybyć na miejsce w jednym pakiecie SYN.

Znalazłam się we wnętrzu starej przyczepy tira, lecz tak dużej, że bez problemu zmieściłby się tam 50-cio osobowy tłum. Wśród bałaganu leżał stos starych, od lat nie otwieranych drzwi, leżących jedne na drugich. Podniosłam pierwsze z brzegu i nacisnęłam klamkę. O dziwo, zawiasy nie były zardzewiałe. Wsadziłam głowę w wąską szparę. Moim oczom ukazała się obszerna sala. Jak ona się tam zmieściła? Przecież przeniosłam się do raczej-realnego-swiata... Na samym środku, na stylowym krzeselku siedziała baletnica i przeglądała się w pięknie w kilku miejscach lustrze. Ledwie dostrzegłam, że weszłam.

- Witam – powiedziałam.

Odwróciła ku mnie głowę.

- Witaj – odrzekła. Jej głos przypominał płatek róży.

Wstała niespodziewanie i zrobiła kilka obrotów na samych czubkach palców, jak zresztą przystało na prawdziwą baletnicę, po czym ukloniła się i znów usiadła na swoim krzeselku.

- To wszystko, co potrafię. Możesz już wyjść – powiedziała, a jej głos przestał pachnieć różą.

- Kim jesteś? – zdziwiłam się. Zazwyczaj baletnice potrafią więcej.

- Marzeniem pewnej małej dziewczynki. Kochała mnie całym swoim małym serduszkim. Uczyła mnie tańczyć, cierpliwie prowadząc za rękę. Spędzała ze mną cały swój wolny czas. Mówiła do mnie, pisała listy, które potem wsadzała w pień spróchniałego drzewa, rysowała moje portrety. Wszyscy o mnie wiedzieli, każdy, kto znał ją, był moim dobrym przyjacielem. To były piękne czasy – swe słowa przerwała głębokim westchnięciem. Poprawiła przez lustrem włosy. Posypał się z nich szary kurz. Dopiero teraz zauważyłam, że było go tu pełno. Na podłodze leżała kilkucentymetrowa warstwa, a lustro ledwie odbijało pomieszczenie. Ciało baletnicy również było zakurzone, szare jak papier pakunkowy - tak, jakby siedziała na tym krzeselku przez długie lata, wcale się nie poruszając. Również jej biała sukienka spopieliała od wszechobecnego kurzu. – Wszystko się kończy! Zostałam skazana na śmierć! – dodała tonem nasyconym tragizmem. – Ale marzenia nie umierają przecież nigdy! Żyją wiecznie, zamknięte w swej samotni, wykluczone z pamięci swych stwórców, żyją nie żyjąc. Kurzą się. Mętnieją. Lecz nie niszczej. Są nieśmiertelne – zawyła baletnica. – Nikt o nich nie pamięta. To takie okropne...

- Kim ona jest teraz? Może spróbuję ją odnaleźć? – odwróciłam się w stronę drzwi.

- Nie! – krzyknęła, próbując mnie zatrzymać. – Nie! Ona jest teraz urzędniczką. Nie baletnicą. Pracuje. Zarabia raczej nie najgorzej. Ma rodzinę. Na co jej takie marzenie jak ja? I tak nigdy już go nie spełni. Na pamiętkę? Pamięć jest ulotna. Tak czy inaczej, trafię tutaj, do krainy wiecznego cierpienia. Tylko gdybym była spełnionym marzeniem złączyłabym się z nią na zawsze. Żyłabym i kosztowała szczęścia. A potem, łagodnie, zeszedłabym z tego świata. Zniknęła. Stała się niebytem. To byłoby piękne...

Zamknęłam drzwi. Znów znalazłam się w ciemnej przyczepie. Chwyciłam kolejne drzwi.

Wewnątrz szarego pokoju znajdował się piesek. Malutka, włochata kuleczka. Szara. Szara jak wszystko tutaj. Gdy weszłam do środka, zwierzątko ożyło. Wzbijając tumany kurzu, piesek zaczął biegać, skakać i popiskiwać z radości. Podeszłam do niego. Dał się pogłaskać.

- Weź mnie ze sobą – rzekł, przemieniając się w malutkiego, chłopca o czarnych oczach i szarych włosach – już wiedziałam, skąd wzięła się ta szarość, będąca również i na jego ubraniach i włochatych bucikach.

- Kim jesteś? – zapytałam.

- Jestem marzeniem samotnego, opuszczonego, nieszczęśliwego chłopca o piesku. O przyjacielu. O ciepłe. O bliskości. Marzeniem niespełnionym – odparł gorzko. – popatrz. On nie żyje. Zamarł ostatniej zimy.

W jego oczach odbił się szary chodnik. Pod odrapanym murem leżało martwe dziecko w potarganych łachmanach. Mrugnął. Jego oczy na powrót stały się czarne. I tak samo martwe.

- Będę tkwił tu wieczność. Aż Wielki Pan I. sformatuje swą pamięć – powiedział jakby z wyrzutem, znów stając się tylko włochatym pieskiem.

Wyszłam. Zanim chwyciłam trzecie drzwi, zawahałam się. Czy na pewno powinnam tu być? Skoro jednak jestem...

W trzecim pokoju nie było nic. Tak przynajmniej mi się zdawało. Weszłam do środka. Również i tu był kurz, lecz zdawało mi się, że było go nieporównanie więcej. Wtem poczułam coś pod lewą stopą. Schyliłam się. Pomiędzy warstwą kurzu pobłyskiwał olbrzymi diament.

- Kim jesteś? – zapytałam po raz trzeci.

- Brylant. Nasze marzenie. – Tuż obok mnie wyrosły dwie osoby. Kobieta w czarnej, bogatej sukni i mężczyzna w szarym fraku. Oboje trzymali w dłoniach kieliszki, do połowy napełnione zmętniałym alkoholem. – Jesteśmy bogaci. Stać nas na wszystko – mówili głosem podobnym do automatu. – Szukaliśmy go przez całe życie. Miał uświetnić naszą kolekcję. Jest największym i najdroższym diamentem na świecie. Nie znaleźliśmy go jednak. Poszukiwania przerwała śmierć – kontynuował bogacz. – Zamordowali nas nasi przyjaciele.

Zauważyłam ślady krwi na sukni kobiety. Kwitły niby rubinowe kwiaty na tle zaczernionej przez noc trawy. Pomiędzy palcami swej trupiobladej dłoni trzymała pobłyskującą kulkę.

- Żegnajcie – powiedziałam. – Zasłużyliście na to.

Pomachali mi, unosząc do góry kieliszki.

- Za twoje zdrowie! – powiedzieli razem. Zamknęłam drzwi. Wybiegłam na zewnątrz przyczepy, głęboko oddychając świeżym powietrzem mglistego, piątkowego poranka. Nie chciałam więcej patrzeć. Nie chciałam więcej widzieć.

Drogę do granicy serwera przebyłam na grzbiecie migrujących szczurów. Potem wskoczyłam na tranzyt, doczepiając się do zdjęcia ślicznej blondynki, wysyłanego e-mailem. Dopiero gdy oparłam się o drzwi własnego domu, szczelnie je za sobą zamykając, odetchnęłam z ulgą.

sobota. niedziela

Weekend.

poniedziałek

Przeciętna mucha mierzy około 8 mm. Charakteryzuje się jedną parą skrzydeł; druga para skrzydeł uległa uwstecznieniu i występuje w postaci tzw. przezmianek (halteres). Skrzydła cienkie, błoniaste, przezroczyste. Odwłok składa się z 9 lub 10 segmentów. Nogi muchówek kończą się 5 członowymi stopami zaopatrzonymi w pazurki lub przyssawki.

Istotnie, mucha ma 6 nóżek, obrośniętych czarnymi włoskami. Poza tym posiada jedną parę skrzydeł, błyszczących na fioletowo, zielono lub żółto – w zależności od padania światła. Jakby tego było mało, na jej głowie znajduje się para dużych, brązowych oczu – być może i są one podzielone na jakieś tam mniejsze oczka – ale kto to tam wie. W miejscu, gdzie przymocowane są jej skrzydełka, czerni się śliczne futerko – ciekawe, czy jest tak miękkie, jak wygląda? Gdyby tak oswoić jedną, małą muszkę... pewnie i tak nie dałaby się pogłaskać. To nie kot ani pies. Ani nawet szczur. A szkoda.

Mucha oderwała się od tafli okiennego szkła i lecąc niezauważenie ponad głowami znuudzonych uczniów, usiadła na kredzie trzymanej przez flegmatyczną nauczycielkę.

- A teraz zróbcie notatkę dotyczącą tego niezwykłego owada - skończyła swoją gadaninę, siadając przy biurku. Odruchowo odłożyła kredę do pudełka, nieświadomie zabijając muchę.

Uczniowie z ociąganiem zabrali się do zadanej pracy. W kącie, przy drzwiach, wybuchły śmiechy. Wiadomo, kto był ich źródłem – Mariolka, bo kto by niby inny. Mały szybko nauczył się stosunków panujących w klasie. Zanim zabrzmiał drugi w tym dniu dzwonek, znał już klasową gwiazdę, przywódcę, milczków, podrywaczy, kujonów i skrytych w cieniu wycofanych. Po trzeciej lekcji w tej szkole był już dobrym przyjacielem każdego członka klasy „C”.

Usypiana szumem deszczu za oknem nauczycielka chwyciła swą kredę, jak ratunku przed snem i zaczęła obracać ją w dłoni. Wtem zerwała się z krzesła i cofnęła aż do ściany. A zrobiła to z takim piskiem, że wszystkim ścierpła skóra na grzbiecie.

- Co się stało, proszę pani?! – zapytała klasowa kujonka, gruba Olka, o dwóch długich warkoczach o niesławnym kolorze psich odchodów, wyskakując z ławki i biegnąc w stronę bladej jak ściana nauczycielki. – Blee... – dodała, krzywiąc się, jakby właśnie zjadła całą cytrynę naraz, na widok maślanej substancji wypływającej ze zmiążdżonego ciała owada. Mucha tkwiła na kredzie, odrzuconej ze wstrętem na biurko, uparcie przyklejając się do jej czubka.

- Dziękujemy za interesujący wykład – z ławki wystrzelił Kuba, niewysoki łobuz, któremu nieobce były wszelkie psoty, nawet, gdy ich efektem była tylko czerwono zaznaczona uwaga. – Nasza najdroższa pani – w tym momencie większość klasy parsknęła niepowstrzymanym śmiechem – postarała się nawet o to, by oprócz suchej teorii, nasza wiedza wzbogaciła się także o empiryczne doświadczenia. A oto przed państwem: zwłoki prawdziwej, żywej... muchy!!! Proszę państwa, co za okaz! – siedzący w ostatnich ławkach chłopcy zaczęli klaskać i gwizdać. Kuba przespacerował się po klasie, podtykając co wrażliwszym kredę z biednym owadem tuż pod nos.

- Wspaniały! Zwróćcie uwagę na te oczy! Czy one mogą kłamać? – zadrwił Mały, gdy został zaszczycony możliwością głębszego poznania tajników biologii.

- Dość! – ryknęła bohatercko przywrócona do życia nauczycielka. – Kuba, na miejsce! A wy... - jej niezwykle ważne słowa przerwał radośnie brzmiący dzwonek. Wszyscy, czym prędzej, wybiegli z sali.

I nareszcie dzwonek. Po cichej i pełnej skupienia godzinie, nastąpiła gwałtowna przerwa, na której można było zaobserwować tyle ciekawych zdarzeń! Tu złośliwa sekretarka biegła do kancelarii, niosąc stos Naprawdę Ważnych Dokumentów, Jano z 3c podłożył jej nogę – upadła jak długa, wyzywając go od wariata, diabła i kto wie, czego tam jeszcze. Pyskata Ula pokłóciła się z Anetą o klucz, Kętrzyński znów prowadził za sobą istną procesję chichoczących dziewczyn, a gruby lizus Bartek pobił się z Kamykiem. Słowem – całe szczęście, że wszyscy nauczyciele prowadzili poważną dyskusję o ostatnim wybryku drugoklasistów, bo nie obyłoby się bez czerwonych długopisów, a zniechędzone rubryki na uwagi znów wypełniłyby się po brzegi.

- Spider, wpadnij dziś po lekcjach do mnie – rzucił przechodzący szerokim korytarzem Mariusz.

- Spider? To mam być ja? – zdziwił się Mały. Chyba tylko on mógł być potencjalnym odbiorcą tegoż komunikatu.

- Wiesz... tak jakoś pasuje – wytłumaczył Mariusz, wskazując idących obok kolegów. – Podoba ci się?

Mały pozostawił to pytanie bez odpowiedzi. Nie miał zwyczaju odpowiadać na pytania nie wnoszące nic do tematu.

- To jak będzie z dzisiejszym popołudniem? Przyjdiesz?

- Of course – uśmiechnął się Mały. – Mam sporo czasu.

Koleżki kiwnęły głowami ze zrozumieniem i odeszły.

- Nieźle, jak na pierwszy dzień – szepnął sobie w duchu Mały. – Zaczynam się wyrabiać w tym fachu – dodał i przyspieszył. Nie chciał złapać spóźnienia, mimo że mógłby się łatwo wytłumaczyć. Wystarczyłoby tylko powiedzieć, że pomylił piętra – w końcu nowicjuszom przysługują jakieś przywileje – ale jemu nie wypadało przecież kłamać. Zbyt wiele razy znalazł się na granicy regulaminu. Nie było więc potrzeby, by czynić to po raz kolejny.

Mariusz mieszkał w jednym z tysięcy mieszkań typowego blokowiska. Poszli tam razem z jego kolegami – Tukanem, iXem i Andrzejem. Mały zastanawiał się, co właściwie zamierzali robić. Rzucili torby w przedpokoju. Mariusz przywitał się z matką gotującą obiad – wszyscy otrzymali zaproszenie na zupę fasolową. Fasola... Cóż, nie należy przecież wybrzydzać. Czasem pojawia się jednak konieczność wyłączenia podstawowych modułów zmysłów...

Kuchnia była mniejsza, niż można to było sobie wyobrazić – cud, że zmieścili się tam wszyscy w siódemkę – na skromny obiad została zaproszona także dziewczynka z sąsiedniej klatki.

Po obiedzie Mariusz zaprosił wszystkich do swojego pokoju. To pomieszczenie także nie biło rekordów, jeżeli chodzi o powierzchnię, jednak było znacznie większe niż kłitka, w której spożywali posiłek. Było tu łóżko, regał z książkami, kilka szafek i biurczko. Centralne miejsce zajmował komputer. iX szybko zorganizował krzesła. Dziewczynka rozsiadła się na dywanie. Andrzej, powszechnie uważany za najlepszego komputerowca w całej szkole okazał się być specjalistą tylko w bardzo wąskiej dziedzinie używania tych cudownych urządzeń, a mianowicie w grach komputerowych. Gdy wczytał się system, a na pulpicie pojawiły się dziesiątki ikon, potrafił nazwać każdą grę. Mariusz włączył jedną z nich. Mimo protestów Tukana, który najwyraźniej wołał przetestować nabytą dziś, wraz z najnowszym wydaniem czasopisma poświęconego tejże tematyce, płytkę, nie zrezygnował z uruchomionego przed momentem programu. Jeszcze tylko krótka kłótnia o pierwszeństwo, zakończona sukcesem Felicji, bo tak nazywała się dziewczynka – i rozpoczęła się rozgrywka. Mały przymknął oczy. Nie bawił go ten sposób spędzania wolnego czasu. Lecz wiedział, że nie jest tu wyłącznie dla własnej satysfakcji. Spojrzał na kolegów. Kibicowali Felicji z całych sił, gdy ta staczała bitwę z dwoma demonami. Miał trudną do opanowania ochotę pomanipulować nieco czasem. Jednak miał w pamięci moje słowa: nie wolno, a także słowa regulaminu, zabraniające takich praktyk, gdy nie jest to konieczne. Ale co miał robić. Wybitnie mu się tam nudziło. Co chwilę przerywał monotonne siedzenie i wpatrywanie się w ekran długim ziewnięciem.

Roześmiałam się. Ile razy byłam w tej samej sytuacji. Wtedy jednak ludzie grali raczej w pokera, przegrywając swe wypłaty, a nie tak jak towarzysze Małego – w przynudne, monotonne, głupie platformówki. Doszłam do wniosku, że o wiele ciekawszy był już ten poker. W takich chwilach cnota cierpliwości zdaje się być zmieszana z błotem, głupim obowiązkiem. Mały nie był cierpliwy. Wiedziałam o tym. Widziałam jego wysiłki, gdy za wszelką cenę chciał poskromić ziewanie.

Po kilku godzinach do pokoju weszła matka Mariusza z telefonem w dłoni.

- Dzwonią twoi rodzice – powiedziała, podając iXowi słuchawkę. Wszystkim zrzędała mina. Należało kończyć zabawę.

Wyszli z bloku na zewnątrz. Świeże powietrze... Jak cudownie znów czuć chłodny powiew wieczornego wietrzyku. Pożegnali się i każdy odszedł w swoją stronę. Mały ukrył się za drzewem. Spojrzał w niebo. Ponad blokami przetaczały się wagony danych. Jak zawsze, pobłyskiwały swym błękitnym światłem, jaśniejszym, gdy mijały się nawzajem, ciemniejszym, gdy samotnie przemierzały przestrzeń. Wystąpiłam w jego stronę kilka bajtów.

Niech się tylko do nich przyczepi. Taka przejażdżka dobrze mu zrobi. Akurat zauważył je w najodpowiedniejszym momencie. Zuch chłopak. Teraz wystarczyło się tylko do nich dokleić. Wykonał znakomity skok, wyciągając w ich stronę obie ręce. Wtem, niespodziewanie, pomiędzy jego wyciągniętymi ramionami a moimi bajtami, mającymi bezpiecznie zawieźć go do domu, przemknął jasno oświetlony, tranzytowy olbrzym, porywając go w nieznaną dal. Cholera jasna. Straciłam go z oczu.

Przez chwilę mknąłem w ciemności, rozjaśnianej tylko co jaśniejszymi pakietami. Ponad mną biegły krótkie błyski. Jakiś niedorobiony hakier nieudolnie pingował swój cel. Ale mi DoS. Roześmiałem się głośno. Chyba usłyszał, bo przestał. Sam się zastanawiam, jakim cudem. Odtąd leciałem w ciemności. Chwilami zastanawiałem się tylko, który router pozna moją obecność i rzuci mnie do folderu z odpadami. Na początku musiałem bardzo uważać, by ukryć się przed skanerami, lecz od pewnego momentu było ich coraz mniej, aż wreszcie zniknęły zupełnie. Pewnie przekroczyłem już granicę, znajdując się w jakimś zacofanym technologicznie kraju. Tu ruch odbywał się znacznie wolniej. Spojrzałem na tablice. Łącza miały przepustowość sprzed dwudziestu lat. I to miały być główne autostrady... Woląłem nie myśleć, co dzieje się na normalnych trasach.

Pociąg zwolnił, aż wreszcie całkowicie się zatrzymał. Sieciówka powoli sprawdzała, czy dane dotarły w całości. Co kilka sekund wysyłała krótkie raporty w stronę wysyłającego. Puściłem kurczowo trzymany pakiet i rozejrzałem się. Jak się stąd wydostać? Sytuacja wydawała się fatalna. Na krótkich raportach nie zajadę daleko. Spojrzałem w górę. Przesyłka została sprawdzona i rozładowana. Skończyło się. Pech. Ostatni błysk świsnął mi ponad głową. Pewnie dane są teraz odczytywane przez zadowolonego usera. Chciałbym wiedzieć, co to było, skoro wędrowało taki kawał świata. Rozjaśniło mi się. Czyżby pliki ściągane przez p2p? chyba jednak nie chcę, wiedzieć, co to. Chociaż jak na film było raczej za krótkie... Ale tam. Nie to było w tej chwili najistotniejsze. Zupełnie nie miałem pojęcia, jak wrócić z powrotem. Matka pewnie nawet nie wiedziała, gdzie jestem. Pieprzony porno! Przez niego wylądowałem tutaj, zamiast bezpiecznie wrócić do domu. Ogarnęła mnie nieopanowana złość. Może to jednak nie był porno? Głupio byłoby, gdyby to pytanie zwróciło wartość TRUE. Gdyby chociaż mp3... Ale co mnie to właściwie obchodzi?

Rozejrzałem się ponownie. Wokół panowała ciemność, rozjaśniana wędrującymi w Sieci bitami. Zamknąłem oczy. Przełączyłem się. Gdy ponownie je otworzyłem, znalazłem się w bardziej user-friendly świecie. Ofkors, była to tylko nakładka, ale moje myśli od razu stały się bardziej optymistyczne.

Na horyzoncie ujrzałem sylwetkę człowieka. Co za szczęście. Może powie mi, gdzie właściwie jestem. Czym prędzej podążyłem w tamtym kierunku. Co chwilę potykałem się o niewidoczne w ciemności kamienie. Jedyne źródłem światła był księżyc, wiszący na granatowym niebie. Wtem wpadłem na genialny pomysł. Szybko sporządziłem niezbędny skrypt. Gdy go uruchomiłem, mogłem cieszyć się półprzezroczystością w całej okazałości. Oprócz wymyślonych przez jakiegoś twórczego programistę drzewek, traw i księżycy, widziałem przepływające bezchmurnym niebem dane i wnętrza przemierzanych przeze mnie nośników pamięci. Tak było o wiele lepiej – stało się jaśniej.

Błyskawicznie znalazłem się na szczycie wzgórza, zbudowanego, jak można się domyślić, z ciągów zer i jedynek, utkanych na 10% powierzchni dysku. Teraz było to oczywiste, bo widoczne. Stąd miałem znakomity widok na okolicę. Mogłem podziwiać umiejętności grafika. Na północnym stoku wzgórza znajdował się maleńki cmentarzyk, dokąd udał się człowiek. Przeszedłem przez bogato zdobioną, kruszejącą bramę. Otoczyły mnie kamienne nagrobki. Wszystkie wyglądały na opuszczone. Nigdzie nie palił się znicz, ani nie leżały kwiaty. Na jednym z nagrobków siedział widziany przeze mnie człowiek. Dopiero teraz spostrzegłem, że była to kobieta, ubrana w czarną, lejącą się suknię. Na jej twarzy, oświetlanej przez księżyc i przepływające dane, dostrzegłem mocny makijaż. Z pewnością była postrachem małych dzieci. W tym momencie, mimo że już wcześniej postanowiłem wyłączyć zgubne emocje i uczucia, byłem w stanie dołączyć do ich malutkich, kolorowych szeregów.

- Nie zbliżaj się tu! – krzyknęła kobieta ochryplym głosem, w nieznanym mi dotąd języku. – Nie zbliżaj się, bo zginiemy oboje!

Oboje?

Dostrzegłem w jej dłoni zakrwawiony nóż. Z jej lewej ręki także ściekała krew.

No tak. Jakież to romantyczne. W świetle księżycy, na cmentarzu o północy, leżąc na zimnym grobie dawnego kochanka zadźgać się jakimś nożykiem do krojenia pomarańczy.

- Po co to robisz? – zapytałem drwiąco. – Rzucił cię chłopak, co? – dzięki mojemu nowemu skryptowi, jak na dłoni widziałem jej kod źródłowy. Nie powinienem. Takie działania były zabronione.

- Zabiję się! – zawyła.

- Po co? – zapytałem po raz kolejny. – Czy jesteś pewna, że on jest tego wart?

Spojrzała na mnie groźnie.

- Nie. Nie jest.

- So... Kopnij mu, a nie kłuj się tu jakimś szczyrzykiem. Kwiatki można polać wodą. No, chyba że to są jakieś mięsożerne kwiatki.

- Zabiję się i tak! Nie odwiedzisz mnie od mojego postanowienia. Nikt tego nie robi. Nikt nie ma takiej siły. Chyba, że sam Szatan – dodała, paplając tym swoim dziwnym językiem. Na pewno nie była Azjatką, więc chyba Europejką...? – Żegnaj świecie!

Przypomniały mi się zadania dla początkujących programistów, gdzie zadaniem pierwszego napisanego przez nich skryptu było wyświetlenie na ekranie słów „witaj świecie”. Roześmiałem się. Jutro z samego rana napiszę tutorial, w którym zerwę z tym zwyczajem. Zamiast tego beginnerzy będą wypisywać „żegnaj Świecie”. A potem dorzuci się jakieś efekty specjalne...

Tymczasem dziewczyna uniosta do góry nóż, jakby nieudolnie naśladować aktorkę ze sztuki tragicznej. Tragicznej w obydwu znaczeniach tego słowa. Zachciało mi się z nią zabawić. Była nudna z tym swoim ciągłym „zabiję się”. Zachowywała się trochę tak, jakby za murami ukrywała się, co najmniej stuosobowa, publiczność. Ułożyłem maleńki trojanik. Rzuciłem serwerek wprost na nóż. Był mój! Gdy tylko znalazł się na centymetr od ciała niedosłej zabójczynie, wyrzuciłem go w górę na kilka metrów. Dodałem jakieś tandetne fajerwerki. Złote. Co za kicz. Że też musiały mi się pomylić kody. Miały być krwistoczerwone.

Dziewczyna poderwała się, wodząc wzrokiem za fruującym w powietrzu, a następnie nurkującym w żywopłocie nożem. Wyglądała tak zabawnie, że postanowiłem osobiście jej go przynieść. Z bliska nie wyglądała tak przerażająco. Miała śliczne czarne oczy. Bułgarka – przemknęło mi przez myśl. Gdy tylko podszedłem bliżej, upadła na ziemię. Chyba się kłaniała. Totalna wariatka.

- Panie mój, dlaczego zaszczycasz mnie swą obecnością?

Hm. Może trzeba było nie brać jej tego noża. Pomieszało się biedaczce od tych wszystkich wrażeń.

- Panie, mój czarny panie – wyła.

Czarny? Chyba mnie z kimś pomyliła. Naczytała się jakiś satanistycznych książeczek. Potem to tak jest. Owszem, Szatan istniał, nigdy tego nie negowałem. Ale czy był czarnym panem? Nie sądzę.

Zacząłem zastanawiać się, co należałoby z nią zrobić. Przydałaby się porządna terapia. Ale skąd tu wziąć psychologa o dwunastej w nocy na takim pustkowiu? Miałem ochotę dać sobie z tym wszystkim święty spokój. Przecież jeszcze mnie nawet nie wyszkolili, to nie robota dla mnie. Wtem przyszedł mi do głowy kolejny tego dnia, genialny pomysł. Stróżowie! Oczywiście. Ona potrzebuje dobrego stróża. Niech on się nią zaopiekuje. Z pewnością będzie wiedzieć, co robić. Zacząłem przetrząsać pamięć w poszukiwaniu namiarów na kogoś porządnego. To nie mógł być jakiś pierwszy lepszy stróżek bez doświadczenia, jakiś koleś od razu po kursie, nie, nie! To musiał być ktoś naprawdę dobry w te klocki. Znalazłem. Email. Potęga poczty elektronicznej! Że też wcześniej o tym nie pomyślałem. Po niecałej sekundzie list do Emanuela został wysłany. Nadeszło potwierdzenie odbioru. Dziewczyna ujrzała tylko dwa, białe, tandetne gołębie. Nie chciało mi się wymyślać czegoś lepszego. Emanuel powinien być lada chwila. Zająłem się ustalaniem własnej pozycji. Moja wielbicielka kłaniała się nadal. Rzeczywiście miałem co do niej rację. Byłem w Bułgarii. Pięknej, ciepłej krainie. Wysłałem imejla do mamy, podając, oprócz pozdrowień, dokładne współrzędne. Pozdrowienia były niby znad morza, ale ja tu żadnej wody niestety nie widziałem. Trudno.

Gdy otrzymałam wiadomość, że wszystko jest w porządku, odetchnęłam. Gorączkowo wprowadziłam dołączone do pozdrowień współrzędne. W okamgnieniu połączyłam się z Małym. Nareszcie. To, co zobaczyłam, omal nie zważyło mnie z nóg. Tkwił na jakimś mrocznym cmentarzu, a u jego stóp leżała zakrwawiona dziewczyna w wieku, bo ja wiem, jakiś siedemnastu lat. Co tam się działo? Zaczęłam się martwić. Żyła, bo jej kod, który nagle ujrzałam, wciąż się zmieniał. Jakim cudem go widziałam? Zawsze wydawało mi się, że to niemożliwe. Że kod jest pilnie strzeżony przez jakieś tajemnicze zabezpieczenia. Chociaż ponoć każde zabezpieczenie da się złamać... Nic już nie rozumiałam.

Przez dłuższą chwilę nie działo się nic. Wtem ciemność rozjaśnił nagły blask, a moim oczom ukazał się, lecący na swych srebrzystobiałych skrzydłach, Emanuel. Zrobił kilka kótek, jakby dla lepszego rozeznania sytuacji, po czym wylądował tuż obok Małego. Ucieszyłam się. Może wreszcie ktoś zaopiekuje się tymi dwoma zupełnie nieodpowiedzialnymi istotami, marznącymi pomiędzy nagrobkami. Musiało być piekielnie zimno.

- Co to się dzieje?! Dlaczego ona krwawi i, co gorsza, kłania ci się?! I jakim prawem, powiedz mi Mały, przeglądasz jej kod źródłowy? Wyłącz to natychmiast! Czy nie wiesz, że to jest zabronione? A szczególnie dla takich, jak ty. Nawet ja nie mogę tego robić! No, chyba że w wyjątkowych sytuacjach – Emanuel uniósł głowę wyżej. I tak była podniesiona dość wysoko. Zastanawiające zdawało się to, jakim sposobem mógł wiedzieć, co dzieje się na dole. – Co ty sobie wyobrażasz? – kontynuował po chwili. – Nawet nie zdałeś jeszcze egzaminu. Nie masz takich uprawnień.

- Więc dlaczego tego nie zablokowaliście? – odezwał się Mały. Emanuel zdawał się być do głębi wstrząśnięty tym pytaniem.

- A po co niby? – oburzył się. – Dla takich, jak ty?!

Mały poczuł się upokorzony.

- Pomóż jej, a nie nękać mnie – powiedział.

- Dobra, robi się! Ją zostaw mi, a ty zmiataj stąd, czym prędzej. Nie powinieneś tu w ogóle być. Co za samowolka – dodał, potrząsając złocistymi lokami. W sekundzie spreparował list do mnie, zawierający, jak się zresztą domyślałam, wskazówki dotyczące wychowania Małego. Specjalista... Od siedmiu boleści! Sam nie wychował jeszcze nikogo. I jeszcze mnie poucza... Samego Małego wrzucił do załącznika i wysłał. Po chwili niebem przetoczył się pociąg. Bit za bitem. Biedny Mały... Przez następne pół godziny musiałam zająć się jego składaniem. Nie miałam przy sobie karty sieciowej, żeby zrzucić na nią całą robotę. A napisany w pośpiechu program mógł zawierać przecież błędy...

- Schudnij trochę, bo generujesz zbędny ruch w sieci, nie mówiąc już o problemie składania i rozkładania cię na bity – powiedziałam zamiast przywitania, gdy włożyłam ostatni element układanki we właściwe miejsce. Co za szczęście. Udało się.

Mały pewnie spodziewał się wyrzutów i gorzkich słów jako karę za jego zachowanie, ale ja wolałam zatrzymać to dla siebie. Takie słowa byłyby zbyt cenne. Dostał już przecież burę od Emanuela, zwykłego, szeregowego stróża.

wtorek

Random.

- Losowy fragment czyjegoś życia poproszę – powiedziałam do kelnera w czarnym fartuchu, który pojawił się w nie do końca realnym świecie.

- Zaraz podam – powiedział, pochylając się lekko do przodu. Zniknął w drzwiach nieistniejącej kuchni, by po chwili znów pojawić się na sali, pełnej maleńkich, jednoosobowych stoliczków. Na każdym leżał idealnie biały obrusik, na którym stała powykrzywiana świeca. Z każdej jej strony ściekał wosk.

Kelner położył przede mną idealnie okrągły, złoty talerzyk. Podziękowałam. Na jego dnie ujrzałam słaby błysk światła. Było szarobrazowe.

Po sali rozniósł się dźwięk młotka. Zapadła cisza. Zgromadzeni, tkwiący sztywno w twardych ławkach, zdawali się być zadziwieni wyrokiem. Wiadomość docierała do nich powoli, wybierając okrężną drogę przez zatłoczone, wąskie drogi małych miasteczek, sącząc się powoli do ich umysłów, jak kapie gęsty płyn: kropla po kropli. Ciężka cisza opadała w dół, przypominając opadający na ulicę kurz, wzbudzony przez nieprzepisowo szybko przejeżdżający samochód.

Spojrzała na niego. Stał bez ruchu. Miał zamknięte oczy. Gdyby nie wiedziała, że nie wierzy w Boga, pomyślałaby, że modli się. Łączył ich chyba tylko ten ateizm... Ona wierzyła w ludzi i w siebie samą, a nie w urojonych bożków o nadprzyrodzonych zdolnościach, mających układać życie z niepasujących do siebie puzzli. Wiedziała, że jest jedyną panią swego życia i wszystko zależy tylko i wyłącznie od jej decyzji. On zaś nie wierzył w nic.

Przewodniczący westchnął głośno, podejmując decyzję o wyjściu z dusznego pomieszczenia. Reszta sędziów również wstała i udała się za nim. W jednym momencie na sali wybuchł gwar.

Wreszcie otworzył oczy. Chyba dotarło do niego, że wygrał. Szczęście eksplodowało w nim, jak bomba podłożona przez zamachowca. Właściwie wygrał tylko dzięki niej. Nie chciała walczyć. Jeden jedyny raz zawahała się, czy bronić sprawiedliwości, czy jego. Wbrew złożonej przed kilkoma laty przysiędze, wybrała to drugie. Wiedziała, że jest niewinny. Mówiło jej o tym jego spojrzenie. To wystarczyło, by przekreślić wszystkie dowody świadczące przeciwko niemu. Wszystkie te papiery i papierki w tej chwili stały się kłamstwem. Aż strach pomyśleć, że była jego oskarżycielką. Walczyła sama z sobą, stawiając kolejne zarzuty. Tak nie powinno być. Wiedziała o tym doskonale.

Teraz był szczęśliwy. Otoczyli go przyjaciele, poklepując się nawzajem po plecach, żartując i śmiejąc się. Gratulacjom nie było końca. Wciąż rozmawiając, powoli zbliżali się do wyjścia. Czas biegł powoli, jak rzeka w swym końcowym biegu. Odwrócił głowę. Przypominał teraz ptaka, startującego z parapetu okna wiezowca. Zdawał się szybować w przejrzystym powietrzu, upajając się swą wolnością. Tak, był wolny. Wreszcie był wolny. Po tylu latach... wolny od zarzutów, wolny od sumienia, wolny od opinii otaczających go na każdym kroku ludzi, wolny od ich nieufnych spojrzeń. Teraz jego życie zmieniło się, jak planeta odwraca się na oświetloną przez słońce stronę. On był właśnie w lawinie słonecznych promieni. Cieszył się nimi i bawił, z ufnością wyciągając ręce ku złocistym refleksom. Biegł w stronę jasnych pól i łąk, jak po długiej, długiej nocy.

W końcu znikł jej z oczu. Widziała go chyba po raz ostatni. Odleciał, nie pozostawiając po sobie nic, poza ulotnym jak obłok wspomnieniem. Została sama. Wszyscy wyszli, pozostawiając ją wśród surowych dębowych ław i stołów. Leżały przed nią kilogramy akt, notatek i wszelkiej makulatury, jaką zgromadziła podczas tego procesu. Stos kłamstw. Skrzywiła się gorzko. Nie wątpiła w jego niewinność. Jak się później okazało, była w tym przekonaniu jedną z nielicznych. Wrzuciła papiery w ogień płonący w kominku. Zapłonęły jasnym, wysokim płomieniem, doszczętnie się spalając. Znowu zapadła cisza. Ogień zgasł niespostrzeżenie. Na sali nie było nikogo, towarzyszyła jej jedynie ta głucha, mordercza cisza i potworna niemal samotność. Wyjrzała przez okno na szerokie, puste schody. Były białe, jak flaga wywieszona na poddającej się fortecy. Białe jak niewinność. Białe jak... samotność.

Po chwili usłyszała gwar. Wyszli z budynku, donośnie trzaskając drzwiami. Coś ścisnęło jej serce. Coś niezrozumiałego, nieznanego nigdy. Coś tajemniczego, domagającego się, by je odkryć, poznać, pokochać.

Wtem zrozumiała wszystko. Spadło to na nią tak nagle, niby zabójca, czający się na gałęzi drzewa, czekający na swą ofiarę. Wstała gwałtownie i wybiegła z sali. Przeciskając się przez tłum stojący na wąskim korytarzu, myślała tylko o jednym – aby jak najszybciej stamtąd wyjść... Zdziwieni jej nietypowym zachowaniem znajomi wołali coś do niej, lecz ona ich nie słyszała. Wsłuchiwała się w głos, płynący jakby z innego świata. Nie z jej świata. Biegła już po schodach potężnej klatki schodowej, pełnej zdobień i obrazów. Wiedziała tylko jedno – musiała go zobaczyć. Po raz ostatni. Ostatni. To było jak prośba kierowana do losu, targowanie się z nim, ciągłe negocjacje. Liczyła na choćby jedno spojrzenie. Czekwała na uśmiech, w którym podziękowałby za zwycięstwo. Przecież gdyby się postarała, mogłaby go zgładzić... Zniszczyć jego życie raz na zawsze... Dowody świadczyły przeciwko niemu, nie byłoby więc to rzeczą trudną. Tym bardziej dla niej. Z nią jeszcze nikt nigdy nie wygrał... Była najlepsza i wiedziała o tym.

Wreszcie znalazła się na zewnątrz. Stała na szczycie wysokich schodów. Każdego dnia pokonywała je kilka razy. Nie miały przed nią żadnych, nawet najmniejszych tajemnic. Znała każdą ich niedoskonałość, każdą szczelinę wyszczerbioną przez mróz, każdą pochyłość i nierówność. Rozejrzała się. Plac, rozpościerający się przed okazałym budynkiem sądu, tyle razy oglądany plac, z wysokim, nowoczesnym bankiem, oszklonym budynkiem poczty, starymi drzewami rosnącymi wzdłuż topniejącej od skwaru ulicy, dwoma długimi klombami, zieloną trawą i fontanną na pobliskim skwerze, samochodami parkującymi na chodnikach i ludźmi przeglądającymi się w oszklonych wystawach sklepów, dziś zdawał się być całkowicie pusty. Jakby wszystko to, co, na co zawsze patrzyła, zniknęło, skryło się w cień, w szarość, stało się niewidoczne. Zrozumiała. Nie było tu tego, co było w tej chwili dla niej najważniejsze. Nie było... jego. Spóźniła się. Ulicą przechodziły dziesiątki ludzi: kobiety, jak zawsze, przeglądały się w szklach oddzielających je od wymarzonej kreacji, kobiety z torebkami, w kapeluszach, na szpilkach i obcasach,

kobiety szczupłe, gadatliwe, milczące. Mężczyźni szli pośpiesznie, jakby nie zauważając tego, co było wokół, rozmawiali przez telefon, załatwiając swe sprawy, myśleli o rzeczach, które powinni jeszcze zrobić, rozmawiali, przypatrywali się przechodzącym przez pasy kobietom. Przez plac przebiegła grupka dzieci w kolorowych ubraniach – wołały coś do siebie, wskazywały na lecący niebem samolot, biegały i rwały kwiaty – mimo że przecież nie wolno było im tego robić. Takie tłumy, tylu ludzi, tyle istnień i przemyśleń, pustych słów i głupich uśmiechów. Żaden z nich nie byłby w stanie zastąpić ptaka, który przez chwilę wstąpił w błękit... Nie, nie ptaka. Pomyłka. Tak, to była pomyłka. Cały ten proces, życie, wszystko. Wszystko. Wszystko! Wszystko się mieszało. Barwy, cienie, dźwięki, uczucia, słowa i istnienia, wszystko to stworzyło mix, jeden niepowtarzalny mix, spojony cierpieniem... Odszedł na zawsze. To był fakt, być może jeden jedyny prawdziwy fakt, bo wytłumaczalny doświadczalnie, w odróżnieniu do bajecznej, nierealnej reszty świata – kolorowych dzieci, kobiet i mężczyzn, samochodów, drzew i budynków – wszystko to było, istniało, ale czy rzeczywiście? Nie potrafiła ustalić, co jest prawdą, a co tylko mętnym złudzeniem. Pustka, pustka, pustka! Tylko to zdaje się być prawdziwe. Bo boli, a więc istnieje. Pozostawił to tutaj, zgubił, należy mu to oddać, tylko gdzie on jest, dokąd poszedł, bezzwłocznie, natychmiast, błyskawicznie trzeba mu to oddać! Może to cenna dla niego rzecz, może jakaś pamiątka, a może wartościowa perła? Nie, przecież nie... Skądże by niby... To tylko pustka. W jej wnętrzu. Nie należy do niego. Jest jej własnością. Ale ona nie chce... Miota się, nie, nie, to nie to... nie tego chciała... Pustka. Nic nie będzie w stanie jej zapełnić... Nigdy. Przenigdy. Ani gdy noc zasłoni okna ciemnymi zasłonami, ani gdy dzień rozsunie płatki żaluzji. Nawet, gdy będzie padał deszcz, a może szczególnie wtedy, pustka będzie tkwiła w jej pamięci. Niby pasożyt, będzie żyła w jej świadomości, nie mając ochoty na śmierć. Wyrok zapadł. Nie uznano jej niepczytalności. Została skazana...

Wstałam. Rzuciłam kelnerowi złotą monetę. Nie sądzę, by istniała w rzeczywistości. Choć może... Nie wiem. Nie chciałam oddzielać rzeczywistości od złudzenia. Ale chyba jednak istniała. Wciąż czułam na dłoni chłód, jaki pozostawiła. Ale... czy moja dłoń istniała? Czy była tylko liniijką znaków?

środa

- Rozpoczynanie nigdy nie sprawiało mi większego problemu – syknął Mały. Złośliwy uśmiezek przeniósł się o trzy kroki w prawo.

- Wobec tego zaczynaj – błysnęło odbicie zakurzonego słonecznego promienia, odbijające się od szkieł. Spojrzenie spoczęło na pustej, idealnie zielonej tablicy, przykrytej białymi kredowymi mazami, które pozostać miały na niej na zawsze. – Po wszech czas – dał się słyszeć ostry szept. Wymagający. Surowy. Nie dopuszczający ni cienia kłamstwa, ni skrzywionego obrazu rzeczywistości.

- Tylko najczystsze krople prawdy – przebiegło mu przez myśl.

Spojrzenie drugie. Podejrzliwe.

- Zaczynaj. Przecież wiesz – łagodniejszy ton rozkazu odbił się echem od czterech ścian.

Dwie proste, bezlitośnie tnące płaszczyznę, spotykające się w punkcie, w zimnych uścisku, precyzyjnie podzielone na nieskończoną liczbę odcinków, dzierżąc w swych ograniczonych ludzkim umyśle kikutach dwie niepozorne strzałki przypominające o niedoskonałości świata widzialnego, symbolizując nieskończony ideał, nieobjęty ani w milionowej części promila przez ludzkie istnienia. Cień, na chropowatej, zimnej i wilgotnej ścianie jaskini... Jak wyrazić tą świętą doskonałość w zwykłej kresce, używanej do wyrażania tego, co tak małe, ludzkie i przyziemne.

Kreda roztrzaskała się na tysiące mikroskopijnych kawałeczków, tworząc na marmurowej posadce niesymetryczny wzór.

Linia ograniczająca kolorowy neon, tandetny billboard, mająca kontur czyichś próżnych ust, znacząca granicę półpustej, zielonej butelki, będąca krawędzią noża, początkiem bądź końcem ołowianej kulki, kształtem popcornu i zarysem nieprzyzwoitego zdjęcia, linia kolorowa, rysowana w pośpiechu, stworzona przez chore pożądanie, zgubna, prowadząca na manowce, zbrudzona krzywdą, głupotą czy małością.

- Tą linią mam opisać doskonałość? – wyrzut odbił się od podłogi, trafiając w myśli, kłębiące się tuż obok.

Dźwięk składanych okularów, lekka poświata zrozumienia, trwająca mniej niż sekundę, bijąca z szarych oczu i ślad czerwonego atramentu układający się w kształt liczby naturalnej i podzielnej tylko przez siebie samą.

- Za nieumiejętność naszkicowania wykresu funkcji – brzmiało pisane uzasadnienie. – Za złamanie zasady. Za niepodporządkowanie się. Za brak umiejętności bycia zwykłym, szarym, takim jak reszta. Za bunt – usłyszał. – To trudne. Ale to konieczność. Konieczność, by dobrze wypełnić swą misję... Rozumiemy się?

Nauczycielka spoglądała na niego znad okularów.

- Nie myśl. Nie nadinterpretuj. Nie wolno – powiedziała, wstając i zostawiając go samego, zamkniętego w ścianach ciasnego gabinetu. Przez żaluzje przeciskały się całe snopy światła, rozplaszczając się na zakurzonych powierzchniach. Ziarenka kurzu wirowały w powietrzu, działając tak usypiająco...

Był już tak blisko... Zaledwie kilka centymetrów dzieliło go od upragnionego celu. Gdyby wstał, tak gwałtownie jak zamierzał, krzesło zapewne odsunęłoby się i przewróciło z hukiem, skutkiem czego aktualnie bardzo zajęta rozmową ticzarka zwróciłaby mu uwagę za bezpowodowe i zupełnie zbędne czynienie hałasu, przy czym poznałaby jego zamiary. Nie mógł więc wstać. każdy jego ruch był wyraźnie słyszalny, odbijając się od pustych ścian. Cicho... A gdyby tak, na sekundę je wyłączyć – pomyślał o module przestrzeni odpowiedzialnym za powstawanie fali dźwiękowych. Z tęsknotą pomyślał o czasach, kiedy nałożona na niego kontrola była o 500% mniejsza. Wyciągnął rękę, pragnąc, by chociaż na moment stała się dłuższa. Centymetr. Dziesięć milimetrów. Wychylił się do przodu, ryzykując przewrócenie się krzesła. Koniuszkami palców dotykał już śliskiej okładki. Prawie się udało. Jeszcze kilka ruchów i miał notes w swej prawej ręce, leżąc rozplaszczony na stoliku. Teraz wystarczyło tylko wrócić do pozycji poprzedniej i prawidłowej, czyli usiąść bezpiecznie na krześle. Udało się! Z dumą przyglądał

się zdobyć. Poszło łatwo. Zbyt łatwo... Otworzył notes na pierwszej stronie. Była pusta. Przekartkował go do ostatniej strony. Ani śladu jakiegokolwiek zapisku. Przecież sam widział... co jest?! Zaniepokoił się nie na żarty. Jeszcze nigdy nie spotkał się z podobnym zjawiskiem. Na korytarzu rozległy się kroki. Mały ukrył notes w kieszeni. Nie kradnij. On tylko pożycza. Pośpiesznie spakował książki do torby i wymknął się z gabinetu. Podejrzane. Bardzo podejrzane. Zanim nauczycielka wróciła do gabinetu, zdążył skryć się za rogiem przestronnego korytarza.

Znalazłszy się na ulicy, postanowił skorzystać z mniej bezpiecznego, lecz bardzo emocjonującego środka transportu. Na skrzydłach muchy dotarł do domu, gdzie zamknąwszy się szczelnie w swoim, zabezpieczonym przed nieautoryzowanym dostępem, szpiegowaniem czy kontrolowaniem, pokoju, począł przyglądać się tajemniczemu notesowi. Był pewien, że zawierał treści, które mogłyby bardzo mu się przydać... Wystarczyło tylko... No właśnie.

Wyjrzał na skompilowane w locie okno. Gdzieś w Japonii, w przejrzystych wodach górskiego potoku, bawiła się dwójka dzieci, chlapiąc wodą porastające brzeg krzewy. Mały przypomniał sobie swoje zabawy z zabezpieczeniami systemu baz danych jakieś instytucji. Było to tak dawno... Wieki temu. Kiedyś bardzo bawiło go włamywanie się.

Wystarczy przecież tylko się włamać... Jak do tamtego systemu. Genialny w swym prostocie plan rozjaśnił jego myśli. Mały zabrał się do pracy. Należało sporządzić narzędzia...

Ograniczona ilością danej mu do dyspozycji pamięci przestrzeń, zupełnie pusta, bez zapachu, koloru czy faktury, o gęstości równej zeru, będąca na granicy istnienia, zupełnie czysta, idealna, bez jakiegokolwiek zbędnej, zagubionej cząsteczki, zajmującej niepotrzebnie cenne bity, zaczęła gwałtownie się zapełniać. A wykonał dopiero banalny skaner... Skompresował go jednym błyskiem myśli i rzucił paczkę w kąt, zabierając się za szkicowanie algorytmów kolejnego programiku na prostym, półistniejącym stoliku, który samoczynnie pojawił się przed nim wraz z grubym notesem i kolorowymi, inteligentnymi flamastrami, potrafiącymi samodzielnie kolorować składnie poleceniami wypisywanych na papierowych arkuszach, a także bezbarwny prostopadłościan wyświetlający nikłe projekty algorytmów powstających jeszcze w głowie programisty, nieprzeniesionych jeszcze na papier. Mały projektował wytrwale, chociaż sześcian wciąż odrzucał błędne pomysły rozwiązań, analizując naprzód efekty i wydajność ich działania. Spojrzał na czyste arkusze papieru, tak samo puste jak pozorne wnętrze nauczycielskiego notesu.

Nauczycielskiego... Że też musiał na nią trafić. Dlaczego matematyki nie uczy go człowiek, zwykły człowiek, tak jak jest na innych przedmiotach? Ponad prostopadłościanem pojawiła się nikła odpowiedź na to pytanie. Poprawna... Podejrzewał to.

Jego myśli przerwało krótkie „spięcie”, jak mawiał na ostry sygnał wysyłany przez własnoręcznie napisany układ kontrolujący jego myśli, by nie odbiegały zbyt daleko od zadania, nad którym pracował. Układ ten scalony był właściwie z prostopadłościanem, ale mógł działać również zupełnie niezależnie.

Kolejne szkice, zawierające znaczne poprawki w stosunku do poprzednich, zostały wreszcie zaakceptowane przez filtry kostki, Mały zakreślił więc ich schematy na swych arkuszach, bacznie obserwując stan zajmowanej pamięci. Kilka prostych działań pozwoliło mu obliczyć, że niestety, miejsca nie wystarczy. Tego się obawiał... Kiedy flamastry uwijały się z kolorowaniem i sprawdzaniem składni poleceń, a arkusz przekształcał je w gotowy kod, Mały zaczął zastanawiać się, gdzie dokończyć swego dzieła. Assembler – syknął, gdy dostrzegł ponad głową polecenia języka C. Zanim zeszyt przekonwertował całość na o wiele lżejszy asm, Mały wrzucił wszystko do kompilatora. Ten zbuntował się, domagając się szerszego pola manewru. Lecz i na to była rada... Prostopadłościan błysnął zielonym światłem, zgadzając się na powodzenie tego pomysłu.

- Oh, zamknij się już – szepnął z wściekłością Mały, chociaż wiedział, że fala dźwiękowa nie rozejdzie się ani na mikrometr. – Zajmujesz za dużo miejsca – dodał, rzucając urządzeniu wściekłe spojrzenie. – Wynocha! – zawołał do stolika. Ten wyniósł się posłusznie, zaszywając się w sąsiednim pokoju pod postacią pudełka szpilek.

Dopiero teraz kompilator mógł bezproblemowo wykonać swoją pracę, wyrzucając z siebie kawałki gotowego programu z ogromną siłą odśrodkową. Mały zebrał efekty pracy nieco roztargnionego przyjaciela każdego koderka, spinając je w jeden plik. Miał już wszystko, czego potrzebował do odczytania zakazanych treści... Przeciskając się pomiędzy nieuporządkowanymi bajtami zawierającymi raporty z kompilacji skanera i łamacza, wykopał stary kompilator na korytarz. Zacerpnął powietrza – omal nie udusił się krążącymi w przestrzeni bitami. No tak. Przecież nie było tu powietrza.

- Praca szłaby jak po maśle, gdybym miał do dyspozycji także sąsiednie pomieszczenia – szepnął sam do siebie. – Wykodzone programiki nie będą mogły się uruchomić...

Wyszedł z pokoju, uważając, by nie wpuścić do środka ewentualnych śmieci, lub, co gorsza, trojanów, jakie podejrzewał znaleźć tuż pod progiem. Rozejrzał się po mieszkaniu. Matka wyszła dokądś, by naprawiać świat, zostawiając go samego, o czym świadczyła żółta karteczka przypięta do lodówki.

Niestety, żaden pokój nie był przystosowany do jego eksperymentów – wszędzie znajdowało się mnóstwo upiększaczy przestrzeni mieszkalnej: na ścianach wisiły pamięciożarłocze obrazki, makaty, półeczki z figurkami, a pokoje zagracone były nikomu na nic niepotrzebnymi gratami. Chodząc po domu coraz bardziej zaczął cenić swój pokój, gdzie wszystkie potrzebne na daną chwilę przedmioty samodzielnie tworzył w locie.

Jedynym w miarę nadającym się pomieszczeniem była skromnie udekorowana łazienka – spakował jej wystrój do małego pliczku i wysłał go do kuchni. Miał do swej dyspozycji dodatkowe megabajty. Podłączył przewidywanym tunelem oba pomieszczenia i uruchomił skaner, wkładając w jego łapy notes. Po kilku chwilach, od niechcenia, wypluł raport z dokładnie sprecyzowanym, słabym punktem notesiku. Mały wyrzucił program do sypialni matki i uruchomił drugi program. Po chwili notatnik zapełnił się nauczycielskimi notatkami, ocenami na półrocze, uwagami, pomysłami na lekcje... Jednym słowem: dane niewarte zachodu. Ogarnęło go rozczerwanie. Po co tyle wysiłku? Po jakieś beznadziejne szósteczki dla kujonków i pały dla nieuków? Przekartkował notes jeszcze raz, bardziej wnikliwie. Niemożliwe, żeby zabezpieczać tak mało wartościowe dane silnym szyfrowaniem... Notes musiał

zawierać jakieś głębsze treści. Z sąsiedniego pokoju dobiegł go wyraźny głos. Czyżby prostopadłościan...? Potrafił mówić...? Ciekawy efekt uboczny...

- Tak! Szyfr! Szyfr! Tak! – wydierała się figura, która jeszcze przed chwilą była pudełkiem szpilek.

Mały skoczył na nią, zdzierając niewidzialną powłokę.

- Zamknij się, ktoś usłyszy – syknął, wkładając ręce w czysty kod i przekręcając kilka jedynek na nieme zera.

Prostopadłościan umilkł.

Szyfr. Rzeczywiście, w jego podświadomości wyżynała się, niby mleczak, taka myśl. Zmienił ustawienia łamacza i scalając go ze skanerem, uruchomił. W pokoiku zapadła ciemność, a stopień zajęcia procesora życiodajnego komputera podskoczył do stu procent, co użytkownik uznał za zwykłe zawieszenie się systemu. Wyłączył więc swą głupią gierkę i zaczął ociężale myśleć nad rozwiązaniem tego problemu. Przychodziło mu do głowy tylko jedno: reset. Leniwy user schylił się ku przyciskowi, stękając i sapiąc, jakby kazano mu nosić pełne wiadra rtęci. Mały przeczuł, co się święci. Wstrzymanie systemu, choćby na ułamek sekundy, zniszczyłoby całą jego pracę. Gorączkowo sporządził jakiś banalny alert, byleby odciągnąć gracza od przycisków... Brak wolnej mocy obliczeniowej nie zezwalał jednak na jego wyświetlenie. Dane, wyrzucane przez program, coraz bardziej napierały na niego i ściany zajmowanego przez mieszkanie folderu, piętrząc się ze wszystkich stron. W łazience strzeliło okienko. Wyniki skanowania zaczęły wyciekać na zewnątrz. Ociężały user, blokowany przez zwieszające się z jego boków sadło, spadł z krzesła. Odgłos upadania ogromnego cielska na podłogę zmieszał się ze stukotem spadających z półeczek mieszkania figurek. Tuż nad głową Małego, na ścianie pojawiła się ogromna rysa. Powiększała się z każdym rytmicznym wypłuciem danych. Mały skoczył do drzwi. Programu nie dało się już zatrzymać. Chwytał alert i sam pobiegł z nim na pulpit, unikając wypadających ze skanera bajtów o zabójczej sile. Przepchnął się przez pękającą siatkę. Tu był bezpieczny. Przebiegł puste łany nieużytków. Na ich krańcach natknął się na systemowy skaner. Jednym skokiem przesadził mur. Był prawie na miejscu. Wtem, tuż ponad jego głową, przemknął promień światła. Tknięty przecuciem, spojrzął na alert. Zamarł. Był uszkodzony...

To była katastrofa... User wcisnął reset i wszystko pójdzie na marne...

Wtem usłyszał świst. Światło zbliżało się z drugiej strony. Padł na ziemię. Poczuł, że trzęsą mu się nogi. Nerwy? Skądś dobiegł go dźwięk systemowego komunikatu. Był uratowany! Wstał i spojrzął na pulpit, rozpościerający się kilka klastrów dalej. Komunikat krzyczał o wykryciu na dysku wirusa. Więc jednak był tu antywirus... Alert podawał dokładną lokalizację. Mały spojrzął pod stopy. Adres był identyczny... Nim zdążył uczynić krok, usłyszał dalekie kliknięcie. Potem obraz przed oczami zlał się w jedno, a on poczuł, że upada na zimną płaszczyznę systemu.

Gdy się ocknął, leżał na mokrym od jakiejś lepkiej cieczy stole. W nikłym świetle wpadającym przez zakratowane okienko dostrzegł metalowe półki, uginające się od ciężaru nieznanymi przedmiotów, pokrytych brudnymi szmatami. Na ścianach wisiały jakieś plakaty z hasłami zapisanymi nieznanym mu alfabetem. Zaciekawiony, uruchomił translator, niestety ten odmówił posłuszeństwa.

- O, ty... – szepnęła, próbując połączyć się z geoserwerem. Chciał poznać swoją lokalizację, by czym prędzej stamtąd czmychnąć. Bał się o mieszkanie. Co, gdy antywirus je wykryje? Co powie matka, gdy wróci...?

Niestety, połączenie nie zostało zrealizowane. Czując, że nic z tego nie rozumie, Mały zaczął rozglądać się po półkach. Pełno było tu najróżniejszych odczynników i niewiadomych substancji, drutów, kabli i urządzeń. Nie miał pojęcia, do czego mogłoby to wszystko służyć. Jego wzrok, zniszczony przez ekrany komputerów, powoli przyzwyczajał się do ciemności.

- Wreszcie...! – odbiła się od ukrytej w cieniu framugi starych drzwi i podeszła bliżej. – Już myślałam, że się nie ockniesz... – dodała chłodno, bez tonu współczucia.

Rzucił zdumione spojrzenie. Potem drugie. Z nutą lekkiej obawy, poczucia winy i przeprosin. Zastanawiała się tylko, czy duma pozwoli mu rzeczywiście przeprosić mnie za totalne zniszczenie naszego mieszkania? Za deportację z dzikich terenów pocziwego dysku? Za nałożoną karę? Na mnie i na niego? Tak ogromną i bolesną...

Kilka nieogarniętych ruchów rękami, jakby na tą długą chwilę stały się tylko nic niewartymi przeszkadzajkami, wnikliwe badanie czystości butów, jakby to była rzecz najważniejsza na świecie i ta niepodobna do niczego grobowa cisza. Odwrócił się, jakby chciał coś powiedzieć. Sekunda wahania. Nie. Nic nie powie. Ach, jakie te półki interesujące. No tak. Znowu chwila zastanowienia. Błysk zdecydowania.

- Przepraszam...

A jednak!

- Co teraz będzie? – fatalna rozpacz, wyraźnie słyszalna. Zbyt wyraźnie. Czyżby była udawana? – Co teraz będzie?! – powtórzył, głośniejsze, bardziej histerycznie. To nie ulegało wątpliwości: zdobył się na prawdziwą szczerłość.

- Czego się domyślasz? – spytała, czując, że zaczynam mięknąć. Zbliżało się nieuniknione. – Co za głupota! Co to miało niby być? I dlaczego? – resztkami silnej woli pokazywała, jak rzekomo bardzo się gniewam.

- Co teraz będzie? – zapytał sucho, oczekując rzeczowej i konkretnej odpowiedzi, wyjętej wprost ze starej i bardzo ważnej księgi.

Chwila była za długa. Wlokła się jak cicha kropla, spływająca teraz po moim policzku.

- Będzie się trzeba pożegnać – powiedziała cicho i zupełnie niezdecydowanie.

- Aha.

Zdziwiłam się tą odpowiedzią.

Chyba kompletnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co powiedziałam. Będzie się trzeba pożegnać. Mały, wyjeżdżasz. Już się nie zobaczymy. Chyba, że przez płot. Zupełnie nieprzenikniony płot odległości. Większej, niż możesz to sobie wyobrazić. Będziesz tkwić teraz tam, gdzie nie ma nic, na całkowitym pustkowiu,

przetransportowany na starej dyskietce do odległej Afryki, gdzie stoi jeden stary komputer, w samym środku pustyni. Tak, to możliwe. To będzie twój zagubiony dom. Co potem? Nie martw się, nie zostaniesz tam na zawsze. Kiedyś, w przyszłym wieku podłączą to miejsce do Sieci. Może GPRS, może jakaś nowa, kosmiczna technologia. A może telepatia. Jeśli się stamtąd wydostaniesz, będziesz wolny. Pójdiesz, gdzie będziesz chciał. Zrobisz, co uznasz za słusne. Może wrócisz, przejdziesz przez Bramę... A może przeistoczysz się w inną formę istnienia. Wkroczysz w inny wymiar. Chyba, że... awaria... Będziesz tkwić nieruchomo, aż w końcu układy rozmagnesują się. Znikniesz. Zupełnie bezboleśnie, bez fajerwerków i zawodzeń płaczek. Zupełnie bez pamięci. Jak można...?

Mały poruszył się niespokojnie.

- Nawet teraz łamałem regulamin – szepnął, odwracając głowę. – Martwisz się o mnie. Ta troska... – dodał z dziwnym wyrazem twarzy. - A co z tobą? Mamo?

Widział moje myśli... Nawet w takim momencie... Nawet w takiej chwili łamał wszelkie normy i nakazy. Co się z nim stało? Czy to moja wina? Czy to po prostu... Istota stracona...?

Przed oczami stanęła mi drobna sylwetka dziewczynki o złotych włosach. Tak stereotypowa... Tak nieskazitelna... Jej nie zdarzyło się nigdy nic podobnego. Była słodka i czysta jak łąka. Idealna. Po prostu anioł. Na jej wspomnienie poczułam, że zbiera mi się na płacz.

- Nie dała sobie rady, prawda? – spytał Mały, przecinając, jak nożem, moje wspomnienie. – Podobno zwariowała, gdy zetknęła się z ludźmi?

Spojrzałam na niego z oburzeniem. Ani drgnął. Nadal siedział wpatrując się we mnie.

- Tak... – szepnęłam po chwili. Porażka uśmiechnęła się.

- Właśnie... Kończmy. Odeślij mnie już...

Spojrzałam za okno. Sześciu Szarych stało za oknem. Od kiedy ostatni raz ich widziałam, ani drgnęli. A może tylko mi się tak wydawało.

- Wrócę. Zdejmę z ciebie karę. Uwolnię siebie, ciebie i twoją aniołkę – słowa, jak sopel lodu, zmroziły powietrze w małej piwniczce. Wyczułam w nich coś złego. Bardzo złego. Przeraziłam się. Nie był już tym samym Małym, którego znałam całe kilkanaście lat.

Sześciu Szarych złapało go, jak łapie się najgorszego przestępcę w tandetnych filmach. Bez skrupułów rzucili go na wagę. Za duży. Trzeba było sprowadzić do czystego kodu, podzielić, skompresować. Szarpał się. Wrywał. Program nie mógł ustalić poprawnego ID. Nawet przerażona Temida rzuciła swą wagę, by ukryć się wewnątrz samochodu. Dawała tylko Małemu błagalne znaki, by się uspokoił. Szary wyciągnął jakąś strzykawkę. Bezlitosny program zalał wszystko bladym światłem. Gdy zgasło, Małego już nie było. Szarzy wrzucili tylko do bagażnika niewielki pakunek. Czysty, zmniejszony do minimum, ogołocony rdzeń. Kernel... Po chwili odjechali.

Zauważyłam coś tonącego w błotnistej kałuży, w której przed chwilą stał jeszcze wóz. Podeszłam. Pływały tam nieprzydatne wspomnienia. Niepotrzebne umiejętności. Niewymiarowe przemyślenia. Drżącymi rękami złożyłam wszystko do zielonej teczki, skompilowanej w locie ze znalezionych w ubłoconych plikach źródłach. Na wypadek, gdyby... Gdyby wrócił...